

Droga pod ochronę?

Nieraz są bardzo nierówne, z dziurami i koleinami, podczas upałów suche i popękane, a po opadach - mokre i klejące się. Zwracają moją uwagę w miastach, w lasach czy wśród pól. Nie ukrywam, bardzo dużą sympatią darzę drogi bez asfaltu. Z prawdziwą przyjemnością idę taką drogą i czasem wydaje mi się, że jestem w innej epoce. Zawsze czuję pewien smutek, gdy nagle zastaję w znanych mi miejscach szarą asfaltową nawierzchnię, przykrywającą już pewnie raz na zawsze starą drogę.

Nietrudno zauważyć, że od razu po położeniu asfaltowego „dywanika” droga traci wiele ze swego uroku. A tak naprawdę to traci cały urok. Nie ma już wówczas miejsca dla wszystkich tych jej barw, zmieniających się wraz z porami roku, kurzu drogi, nierówności, kałuż i - co bardzo ważne - nieprzychylności dla części pojazdów. Bez kłopotu, o ile nie broni tego zakaz wjazdu, dotrze nią dokąd tylko można każde auto. W tym krótkim czasie po położeniu asfaltu zmienia się prawie wszystko. I nie ma już potem powrotu do starej drogi. Nawet te ze zniszczonym i spękanym asfaltem, są już czymś zupełnie innym.



Jedna z wielu tych dróg na południu Polski, która nie potrzebuje modernizacji. Fot. Jakub Michalcewicz

Część z tych dróg bez asfaltu istnieje już tylko w mojej pamięci. Była kiedyś taka droga przed domem moich dziadków na Kolonii Leśnej w Chrzanowie. Sąsiadowała z jednej strony z lasem, a z ogrodami domów z drugiej. Wkomponowana w przyrodę, z roślinnością wdzierającą się na nią z boków, stanowiła dla mnie oczywisty i naturalny element tego miejsca. Z rzadka przejeżdżał tamtędy samochód, który był jakby nieproszonym gościem na jej kamienistej nawierzchni. Kiedy nadjeżdżał, słyszało się charakterystyczny odgłos opon trących o powierzchnię drogi. Czasem pojawiali się na niej ludzie, kiedy indziej leśne zwierzęta. Znałem tę drogę dobrze i lubiłem ją, razem z tymi jej

wszystkimi niedoskonałościami, w części zasypywanymi przez mojego dziadka popiołem z pieca. Wtedy wydawało mi się, że będzie istnieć zawsze w niezmiennym kształcie. Tamten dawny widok – nieco żółtawej drogi, łagodnie kontrastującej ze ścianą lasu, dziś wciąż mi towarzyszy.

Pamiętam także drogę w Wierchomli w Beskidzie Sądeckim. Jakże różniła się wycieczka nią kiedyś od tej odbywanej obecnie. Dzisiaj wygodnym asfaltem można dojechać w głąb doliny aż pod wyciąg narciarski. Kilkadziesiąt lat temu była to prawdziwa wyprawa w Beskid Sądecki – taki, którego już właściwie nie ma. Droga bez asfaltu była ważną częścią doznań podczas pieszej wędrówki. Potem pamięta się je nawet przez wiele lat.

We wspomnieniach odnajduję drogę w Hucie Wysowskiej w Beskidzie Niskim i krajobraz wypełniony późnoletnią łąką, jasną drogą, potokiem i pojedynczymi gospodarstwami. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że to między innymi tam właśnie, choć już pod koniec XX wieku, widziałem jakieś resztki dawnej Łemkowszczyzny.

W Dolinie Prądnika w Ojcowskim Parku Narodowym asfalt przykrył dziś już większość drogi biegnącej jej dnem. A jeszcze nie tak dawno, stojąc w okolicy wylotu Wąwozu Smardzowickiego, patrzyłem na drogę bez asfaltu, prowadzącą w kierunku Prądnika Korzkiewskiego, i na krajobraz podobny do tego, jaki istniał tu od dziesiątek lat.

Jest też taka droga, gdzieś koło mojego domu w Krakowie, w głębi ruchliwego miasta. Otoczona przez domy i nowoczesne bloki, tkwi niczym resztką „normalności” w nieustannie obecnie rewitalizowanym miejskim świecie. Kiedy nią przechodzę, często myślę o przyszłości tradycyjnych dróg.

Zastanawia mnie, ile w ramach naszej ludzkiej wygody i udostępniania różnych terenów możemy jeszcze w przyszłości „wyasfaltować” dróg w miejscach, w których naprawdę nie trzeba lub szkoda tego dokonywać, ze względu na ich przyrodnicze czy krajobrazowe wartości. Myślę, że czasem zupełnie nie doceniamy tych nieco archaicznych traktów. One nieodwracalnie znikają na naszych oczach. Te drogi są przecież częścią kulturowego dziedzictwa. Chyba niekoniecznie zasługują na to, żeby pokryć je asfaltem.

Jakub Michalcewicz